

Konrad Dzieścielewski

PODRÓŻ W CZASIE DO MOJEGO KRZYWCA

Chciałbym Cię, drogi czytelniku, zabrać w podróż w czasie, podczas której nie tylko zajrzymy w głąb mojej pamięci, ale też spojrzymy na świat z perspektywy dziecka. Dziś piszę jako dorosły mężczyzna, niemniej jednak wspomnienia tu zarejestrowane należą do niego. O swoich przygodach opowie Ci sześciolatek chłopiec. Zwróci uwagę na to, co dla niego istotne, co przykuło jego uwagę. Dzisiaj do większości z tych rzeczy nie przyłożyłbym praktycznie żadnej wagi. W tamtym czasie nic innego się nie liczyło.

Dlaczego tak się od siebie różnimy, ja teraz i ja 32 lata temu? A może mogę odnaleźć jeszcze gdzieś tego chłopca i przez moment się z nim pobawić? Spróbujmy! Jeśli chcesz, zaprosi i swoje wewnętrzne dziecko, pobaw się z nami w Krzywcu. Czas start...

Niektórzy postrzegają podróż w czasie jedynie jako chwytliwy motyw fikcji literackiej. Tymczasem im więcej powstaje ekranizacji śmiałych wizji przemieszczania się w czasie, tym więcej pojawia się pytań i wątpliwości związanych z faktycznymi możliwościami zaistnienia takiego zjawiska. Najwięcej obaw budzi zdawałoby się niepozorny wpływ najmniejszych wydarzeń z przeszłości na naszą przyszłość. Zmiana biegu historii, nawet ta drobna, mogłaby przecież całkowicie wykluczyć teraźniejszość, jaką znamy. Pojawiają się zatem pytania o istnienie równoległych rzeczywistości, funkcjonujących obok siebie w tym samym czasie, niczym niezależne byty. W jednej z nich wiemy życie ubogie, w innej opływamy w dostatek. W jednej związani węzłem małżeńskim, w innej skazani na samotność. Nieskończona liczba linii czasowych, które mkną obok siebie, niezależnie, własnym tempem. Można pokusić się o założenie, że niektóre z nich nachodzą na siebie, inne odrywają się, a jeszcze inne przecinają się wzajemnie, tworząc swoiste bramy, portale do alternatywnych rzeczywistości. Wizje te

mnożą się, a im jest ich więcej, tym trudniej ogarnąć je naszym ograniczonym, ludzkim umysłem.

Wystarczy jednak spojrzeć w rozgwieżdżone niebo, by dostrzec w tym zjawisku coś więcej. Patrząc na te, z naszej perspektywy, drobne iskierki, kontemplujemy światło sprzed milionów, a nawet miliardów lat. Nierzadko bowiem tyle czasu zajmuje światłu pokonanie tej niewyobrażalnej odległości dzielącej nas od najdalszych zakątków kosmicznej otchłani. To właśnie tam, w gwiazdach, nasi przodkowie szukali odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Oni również w ten prosty, intuicyjny sposób, podróżowali w czasie. Wystarczyło przywołać w pamięci moment, do którego pragnęli powrócić, zamknąć oczy, skupić się... i już tam byli, przeniesieni siłą własnej woli w upragnione miejsce.



Przyroda w Krzywcu. Fot. M. Konwaluk i M. Król

A teraz ja przenoszę się do Krzywca. Krzywca, przez który wiedzie tylko jedna asfaltowa droga, ciągnąca się od rozwidlenia w Niesiecinie do trasy łączącej Aleksandrów Łódzki z Lutomierskiem. Do Krzywca, gdzie stało ledwie kilka domów, a większość krajobrazu stanowiły pola, zamknięte z obu stron nieprzerwanym pasmem sosnowych lasów, sięgających aż po horyzont. Lasy te skrywały niezliczone tajemnice, a ich zgłębienie wymagało odnalezienia właściwej drogi, co nie było ani łatwe, ani oczywiste.

Dziecko ze swojej perspektywy postrzega świat jako ogromny. Każdy, nawet najmniejszy kamień, na który można się wspiąć, urasta do rangi olbrzymiego głazu, a drzewa stają się punktami obserwacyjnymi, z których rozpościera się widok na cały dziecięcy wszechświat. Dziecko ma też krótkie nogi, dlatego każda, nawet najkrótsza podróż, zwłaszcza latem, po rozgrzanym asfalcie, staje się nie lada wyczynem.

Takie właśnie działania budowały nie tylko moje dzieciństwo, ale – co najważniejsze – kształtowały osobowość. Przestrzeń, do której miałem nieograniczony dostęp, sprawiała, że choć zwykle doskwierał mi brak towarzysza zabaw, to mogłem eksplorować krainę, w której wyobraźnia sięgała dalej niż sosnowy horyzont i bezchmurne, nieskażone blaskiem latarni, rozgwieżdżone niebo. Zapraszam zatem w podróż do przeszłości.

Parametry zostały precyzyjnie ustawione: 7 czerwca 1992 r., Krzywiec, dzisiejsza ul. Okołowicza 25, dokładna lokalizacja 51.7781964414617, 19.28393460975295. Przenosimy się w czasie o 32 lata, 7 miesięcy i 13 dni.

Widzę, jak nad polem, z którego strzela w górę młode żyto, unosi się dostojny bocian. Wielki biało-czarny ptak, w którego cieniu mógłbym się bez trudu schronić. Widzę go tak wyraźnie, bo siedzę sobie na dachu starego kurnika. Obecnie w klatce mieszkają tam dwa króliki: czarny – Bonifacy i brązowy, a zasadniczo kremowy – Kłapouchy. Siedzę więc na tym dachu, na wysokości ok. trzech metrów, na „pachnącej” smołą papie, w chłodnym cieniu komina z czerwonej cegły i obserwuję świat. Oto mój świat. Po polu, niczym małe pociski, przemykają myszy, gonione przez koty pana Jaśka – krępego mężczyzny niezmiennie odzianego w za dużą kufajkę i czapkę, czarną jak jego gęsta postrzępiona broda i wąsy. Przy odrobinie szczęścia można tu nawet dostrzec zającą, wielkiego niczym nasz pies Bary.

Nikt chyba nie wie, że tu jestem... Wspiąłem się po rozłożystym orzechu i mocno trzymając się gałęzi, przeszedłem zwinnie na dach. Nauczyłem się tego od Tarzana, w filmie wyświetlanym o 20.10 w jednym z dwóch programów naszego czarno-białego telewizora. Odbiornik ten oferował co prawda możliwość ustawienia obrazu na zielono-biały lub niebiesko-biały, ale nie czyniło to go zbyt kolorowym. Nie miał też pilota, bo przy wyborze zaledwie dwóch programów był on po prostu zbędny. Zresztą wtedy do zmiany programu używało się dzieci, a nie pilota. Wśród programów, namiętnie oglądanych w tamtym czasie były też *Bonanza* i *Święty* z charyzmatycznym Rogerem Moore'em.

Wszystko to sprawiało, że oprócz uzmysłowionej przez telewizję naturalnej umiejętności wspinania się, byłem też nieustraszonym kowbojem, walczącym o sprawiedliwość na dzikim zachodzie województwa łódzkiego, a także agentem z aureolą. Ta ostatnia kreacja pozwalała mi niezauważenie skakać z dachu wprost na miękką ziemię pola i wspinać się po siatce bez najmniejszego uszczerbku na zdrowiu! Wszystkich domowników, czyli babcię i dziadka, zastanawiało tylko, jakim cudem jestem tak umorusany smołą. Ta zaś schodziła ze skóry dopiero po użyciu masła... Z ubraniami niestety sprawa była znacznie bardziej skomplikowana.

Króliki to był prezent od dziadka. Uporczywie powtarzał, że robi z nich pasztet. Robił to z przekąsem, bo nigdy by się do tego nie posunął... chyba. Dzięki królikom łatwiej było mnie zlokalizować, bo zawsze byłem tam, gdzie one albo... nad nimi. Karmiłem je i wypuszczałem na swobodę po całej działce, żeby nie musiały się gnieździć w ciasnej klatce. Podjadały wtedy do woli świeżą trawę i wszechobecne, soczyste liście mniszka. Cieszyłem się, że mogą cieszyć się tą samą wolnością co ja, że mogą swobodnie biegać i skakać po rozległym terenie. Nie dostrzegałem wtedy czyhającego niebezpieczeństwa. Dzieci go nie widzą, zwłaszcza w miejscu, które jest dla nich scenerią niekończących się zabaw. Oba króliki wkrótce stały się obiektem zainteresowania przebiegłej kuny. Ta sama kuna za kilka dni brutalnie zakończyła ich beztroskie życie i doprowadziła małego chłopca do łez. Dała mu kolejne, niezwykle ważne doświadczenie, z którym przyszło mu się zmierzyć – doświadczenie straty i nieuchronności śmierci... A dziadek pasztetu nigdy nie zrobił.

Ale jesteśmy tu i teraz, czyli 7 czerwca, w piękną, słoneczną niedzielę. Dzisiaj nie zeskoczę z dachu. Spojrzałem w dół i poczułem narastający strach, dlatego postanowiłem ostrożnie zejść po pniu drzewa. Dziś do Krzywca przyjeżdżają moi rodzice. Dziadek, choć nie przepada za podróżami samochodem, dał się w końcu namówić. Nasz pomarańczowy polonez jest już gotowy do drogi. Jego wnętrze, przesiąknięte charakterystycznym zapachem benzyny, na zawsze będzie mi się kojarzyć z wyczekiwanymi podróżami, na które tak trudno było namówić dziadka. Po Łodzi, gdzie mieszkaliśmy przez niemal połowę roku, poruszaliśmy się głównie komunikacją miejską. Cytując dziadka: Po to jest, żeby korzystać.

Ja, w przeciwieństwie do dziadka, uwielbiałem jeździć samochodem! Każda taka podróż była dla mnie prawdziwym świętem i właśnie w tę nie-

dzielię to święto miało nadejść. Mój ojciec, choć posiadał prawo jazdy, rzadko siadał za kierownicą. Dziadek traktował go jak rodzzonego syna, być może dlatego, że sam miał tylko dwie córki. Czasami zabierał go na przejażdżki i z niepokojem obserwował, że ojciec nie jest najlepszym kierowcą. Moi rodzice są głuchoniemi, a dziadek uważał, że tata nie słyszy pracy silnika, co skutkuje problemami z koordynacją i panowaniem nad pojazdem. Jednakże tego pamiętnego dnia ojciec otrzymał szansę poprowadzenia samochodu. Miał nas zawieźć z Niesięcina do naszego domu w Krzywcu... Niestety, jakieś 300 metrów przed domem wylądowaliśmy w rowie po przeciwnej stronie drogi. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało, ale był to ostatni raz, kiedy dziadek powierzył mojemu tacie prowadzenie samochodu. Po wiejskiej drodze Krzywca rzadko kiedy przejeżdżał samochód, a jeśli już, to zazwyczaj zmierzał do posesji Jędruszczaków albo do naszej.

Większość rolników w tamtych czasach posiadała konie. Czy to pan Przybyłek (obecnie gospodarstwo przy ul. Okołowicza 28), czy państwo Łukasińscy (obecnie gospodarstwo przy ul. Okołowicza 14). To właśnie od nich kupowaliśmy świeże mleko, prosto od krowy. Tego smaku nie zapomnę do końca życia. Każdego wieczoru z niekłamaną przyjemnością raczyłem się tym ciepłym, aksamitnym napojem, prosto z aluminiowej kaniki. Nic nie smakowało tak wybornie, jak to świeże mleko. Potrafiłem wypić naraz nawet trzy szklanki! Resztę babcia skrzętnie przeznaczala na zsiadłe mleko do obiadu i, niestety, na znienawidzoną przeze mnie poranną zupę mleczną. Szczerze jej nie znosiłem! Gdyby nie intrygujący obrazek na dnie talerza, do którego tak bardzo chciałem się „dokopać”, nigdy nie zdołałbym jej dokończyć. Zdziwiające jest to, że za każdym razem był to ten sam niezmiennie fascynujący mnie obrazek, a ja wciąż chciałem go ponownie ujrzeć. Zmuszałem się więc do zjedzenia zupy do ostatniej łyżki. Czasami trwało to dobre pół godziny... Wtedy zupa stawiała się już zupełnie zimna, na jej powierzchni pojawiał się nieapetyczny kożuch, a pływające w niej kluski stawaly się jeszcze bardziej niejadalne. Niestety, obowiązywała żelazna zasada: nie zjesz, nie odejdiesz od stołu.

Stół był drewniany, solidny, bardziej przypominający mebel ogrodowy niż kuchenny, podobnie jak stojące przy nim ławy. Od kuchni oddzielał nas rząd pólek, na których dumnie prezentowały się talerze, ozdobione malunkami brązowych kwiatów. Pamiętam też wszechobecne białe firanki z motywami różnych roślin.

Nasz dom był połączony z rozległymi magazynami, w których niegdyś składowano materiały papiernicze, a później, przez krótki czas, w części z nich hodowano kury. Po jednym i drugim pozostały już tylko nieliczne pamiątki: gaśnice proszkowe i hydronetki ustawione przy solidnych, drewnianych słupach. Na działce było przyłącze siły. Tablica rozdzielcza, niczym z tajnego laboratorium, oznaczona była trupią czaszką i złowrogim napisem: „Uwaga! Wysokie napięcie”. Instalacja była stara, często też wyłączano napięcie w Krzywcu. Dziadek uroczyście włączał prąd i wyłączał, kiedy wyjeżdżaliśmy i przyjeżdżaliśmy do Krzywca. Samo już przestawienie masywnej wajchy budziło respekt i dreszczyk emocji.

Nieużywany, opustoszały magazyn Arpisa ze względu na swoje gigantyczne rozmiary budził w sześciolletnim dziecku prawdziwą grozę, zwłaszcza gdy nadciągała złowroga, burzowa chmura albo gdy zapadał zmrok. Miał on w sobie również pewną magię, kryjąc w swoich zakamarkach niezliczone, poukrywane pokoje, mniejsze magazyny i strychy, w których wciąż można było natrafić na ostatnie partie szarego papieru pakowego czy sztywne bloki z przeróżnymi tabelkami i formularzami faktur do wypełnienia. Wszystkie te skarby stanowiły dla mnie niewyczerpane źródło materiałów. To właśnie na nich, niczym na płótnach, stawiałem pierwsze kroki w rysunku, kreśliłem mapy i planowałem kolejne, śmiałe wyprawy po terenach Krzywca.

W magazynie niepodzielnie królowały pająki. Rozciągały swoje misternie utkane sieci na wejściach i przejściach, niczym delikatne firanki zawieszane w korytarzach, łapały w nie nieostrożne muchy i strzegły odwiecznych tajemnic. Pokłady tych zapomnianych papierów wydawały mi się wprost nieskończone. Miałem wrażenie, że ktoś nieustannie podrzuca kolejne stosy, dlatego też bez najmniejszych skrupułów oddawałem się na nich swojej pasji rysowania i malowania.

Z dziadkiem zapuszczaliśmy się zawsze w te rejony, które dla innych pozostawały niedostępne, nieodkryte. To właśnie dzięki tym wspólnym eskapadom poznałem dokładnie całą wieś, każdy jej zakamarek. Dziadek był człowiekiem niezwykle lubianym i szanowanym, choć niektórzy, niestety, wykorzystywali jego wrodzoną dobroć i bezgraniczną ufność. Nigdy nie obnosił się ze swoją pozycją ani z tym, że posiadał niemały majątek. To był swój chłop, prawdziwy człowiek z Krzywca. Eugeniusz Stępniak, bo tak się nazywał, znacznie częściej dosiadał swojego wysłużonego roweru

Ukraina, niż wsiadał do lśniącego poloneza. Uwielbiał też długie spacery, podczas których odkrywał miejsca niedostępne dla innych, dokąd nawet rowerem nie sposób było się przedostać. I często zabierał mnie ze sobą. W ten sposób poznawałem nie tylko nowe, fascynujące miejsca, w tym ludzi i ich domostwa. Najbliżej, bo dosłownie przez płot, stał dom państwa Jędruszczaków. I właśnie przez ten płot, niczym paczki, przerzucano nas, wnuki pana Lucjana i mnie, w jedną i drugą stronę. Bawiłem się też z wnukiem państwa Przybyłków, gdzie między oborą a stodołą poznawałem zupełnie inny, fascynujący świat. Szczerze mówiąc, to właśnie tamto wiejskie życie, w otoczeniu zwierząt, bardziej do mnie przemawiało. Konie, krowy, świny, kury, kaczki, koty i psy... Dla dzieciaka wychowanego w mieście było to niczym prawdziwe, egzotyczne safari. Gospodarstwo Przybyłków ciągnęło się aż do rzeki Lubczyny, a ich ziemie sięgały chyba aż po sam las, do dzisiejszej ul. Granicznej. W każdym razie z całą pewnością użytkowali tamte tereny.

Za gospodarstwem leniwie płynęła wspomniana rzeka... a raczej rzeczka, której brzegi od strony Przybyłków łączyła prowizoryczna, drewniana kładka, zbita naprędce ze starej deski rzuconej na kępy traw. Dla mnie, małego chłopca, była to jednak prawdziwa, rwąca rzeka, dlatego obawiałem się chodzić po tej chybotałej kładce, panicznie bojąc się wpaść do mętnej wody. Każde przejście na drugi brzeg było nie lada wyczynem, aktem prawdziwej odwagi.

I choć, jak pamiętam, nie bałem się skakać z dachu starego kurnika, to sama myśl o przejściu po tej wątlej kładce napawała mnie niewypowiedzianym strachem. Myślę, że było to spowodowane traumatycznym przeżyciem z dzieciństwa, kiedy to, będąc jeszcze młodszym brzdącem, wpadłem do lodowatej wody na przystani promowej w Świnoujściu. Gdyby nie błyskawiczna reakcja dziadka, dla którego woda była poskromionym żywiołem, pewnie nie pisałbym teraz tych wspomnień, no chyba że w jakiejś innej, alternatywnej czasoprzestrzeni. Po drugiej stronie Lubczyny rozciągały się malownicze łąki i pastwiska, sięgające aż po sam las, gdzie na niewielkim wzniesieniu stał ostatni dom. Być może to właśnie stąd wzięła się nazwa ul. Granicznej. To była w tamtych czasach faktyczna granica cywilizacji, kres znanego mi świata. Do 1995 r. nie miałem pojęcia, co kryje się w gęstwinie tego tajemniczego lasu i jakie niezbadane sekrety skrywają się za nim. To był dla mnie prawdziwy koniec świata!

Teren naszego domu, pieszczotliwie zwanego „działką” (bo faktycznie większość czasu spędzaliśmy w Łodzi – przynajmniej ja, babcia i rodzice), był naprawdę rozległy. Mieliśmy tam wszystko: ukwiecony ogród ozdobny, bogaty w warzywa ogródek, rozległą, pachnącą ziołami łąkę i dorodny sad, na który składało się kilka starych grusz, jabłoni, wiśni i słodkich czeřeśni. Babcia dosłownie tonęła w tych wszystkich ogrodach, pielęgnując je z oddaniem... i to ewidentnie nie był jej żywioł. Dziadek, z uporem, ciągle wciągał ją w uprawę coraz to nowych warzyw i owoców. Ja sam nie byłem entuzjastą pracy w ziemi. Zdecydowanie bardziej wołałem oddawać się rysowaniu albo wspinać się na najwyższe drzewa i obserwować stamtąd świat. Długie spacery też były dla mnie prawdziwą mordęgą. Wszędzie było tak daleko, a w upalne, letnie dni w ogóle wołałem nie wychylać nosa z chłodnego cienia garażu lub ocienionej alei morw, prowadzącej od ulicy wprost do domu. Ale jak już gdzieś szliśmy, to na całego, nie było zmiłuj!

Kiedy zapuszczaliśmy się w głąb lasu, zdawał się on nie mieć końca, rozciągał się przede mną niczym nieokiełznana, dzika kraina. Spacerując w okolicach dzisiejszej ul. Olchowej, w swobodnych rozmowach dziadków często pojawiała się tajemnicze, pobudzające wyobraźnię opowiadanie o znajdującej się na końcu tej drogi Chacie Wuja Toma. Brzmiało to niezwykle intrygująco, jak fragment jakiejś nieznanej baśni. Nigdy tam co prawda nie dotarłem, ale moja bujna, dziecięca wyobraźnia natychmiast podsuwała mi obraz starej, drewnianej chaty myśliwskiej, skrytej w leśnej gęstwinie, zamieszkałej przez sędziwego, brodatego Wuja Toma. W mojej głowie snuł on fascynujące, pełne przygód opowieści o swoich niezwykłych, leśnych eskapadach. Niewątpliwie to właśnie dzięki tym barwnym wyobrażeniom kilka lat później z zapartym tchem, niczym zaczarowany, przeczytałem książkę *Przygody Tomka Sawyera*. Czym jednak w rzeczywistości była owa enigmatyczna Chata Wuja Toma? To pytanie, niczym nierozwiązana zagadka z dzieciństwa, do dziś pozostaje dla mnie fascynującą, nierozwiązaną tajemnicą.

I znów czuję się, jakbym tam był. Teraźniejszość. Na zachód od ul. Życzliwej rozciągają się przepastne lasy. Ten krajobraz, ku mojej radości, nie zmienił się zbyt wiele przez te wszystkie lata. To właśnie tam, w leśnych ostępach, pośród gęstwin drzew i krzewów, spędzałem najwięcej czasu, oddając się beztróskim, chłopięcym zabawom. Było to w końcu najbliżej domu, tuż za miedzą. Przechodząc przez rozległą działkę wujostwa Białkowskich,

wychodziłem wprost na skraj wspomnianego lasu, czując zew przygody. Kiedy jednak cioci Ireny i wujka Edwarda nie było w domu, zmuszony byłem iść dłuższą drogą, dziś ul. Życzliwą, która wbrew swojej jakże mylącej nazwie wcale taka życzliwa i przyjazna nie była. Pomiędzy polami, niczym wstęga, wiła się piaszczysta, wyboista droga, w której nieustannie, po kostki, zapadałem się, a drobny, sypki piach utrudniał kroki. Kilka lat później, kiedy w końcu trochę urosłem i przesiadłem się na rower, tamten jakże zdradliwy odcinek drogi wciąż trzeba było pokonywać pieszo, z pokorą prowadząc kołyszący się na boki jednośląd obok siebie. Koła dosłownie tańczyły, bezzradnie uciekając w grząskim, zdradliwym piachu.

Las rozpoczynał się gęstym, niegościnnym pasem ostrych jeżyn, by następnie przejść w łagodniejsze, wyściełane miękkimi połaciami mchu sosnowe tereny, poprzecinane gdzieniegdzie malowniczymi, brzozowymi zagajnikami. Od czasu do czasu na naszej drodze pojawiały się wyniosłe, dostojne dęby, ale tych drzew na północ od domu było zdecydowanie najmniej. Las w moich chłopięcych oczach zawsze miał w sobie tajemniczą duszę, którą dziś, bez wahania, przypisuję pradawnym, słowiańskim duchom. Jestem głęboko przekonany, że one wciąż tam mieszkają, czają się w leśnych ostępach, tak jak psotliwe skrzaty, o których dziadek snuł mi niezliczone, fascynujące opowieści. Dzięki tym opowieściom bez trudu mogłem wyruszać na ich poszukiwania i z dziecięcą wiarą odnajdywać ich ślady, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Nie zawsze jednak udawało się wytropić skrzata, chociaż dziadek nieustannie mnie do tego namawiał. Budowaliśmy domki, szalasy, małe mebelki. Jak nie znalazłem moich brodatych bohaterów, w bystre oko wpadały inne, fascynujące stworzenia – np. rozmaite robaczki. Obserwacja pajaków misternie tkających swoje sieci była jedną z moich ulubionych leśnych rozrywek. Mogłem godzinami, w pełnym skupieniu, śledzić, jak te małe, niepozorne stworzenia budują swoje kunsztowne, geometryczne sieci, a potem z anielską cierpliwością czatują w ukryciu na nieostrożne ofiary. Fascynowały mnie też delikatne, zwiewne motyle, ich ulotne piękno i feria tęczy barw. W tamtych odległych czasach było ich znacznie więcej. Całe chmury mieniących się kolorami skrzydeł unosiły się nad ukwieconymi łąkami, tworząc niezapomniany, magiczny spektakl. Dziś, niestety, to rzadki, wręcz unikatowy widok, albo przestałem tak pięknie widzieć świat?!

W lesie, z nieocenioną pomocą dziadka, dzięki znalezionej w magazynie starej snopowiązałce, zbudowałem kiedyś gigantyczną pajęczynę. Dokładnie taką, jaką wcześniej zaobserwowałem w naturze, misternie utkaną pomiędzy drzewami. Niestety, mimo usilnych starań, nigdzie nie mogłem znaleźć odpowiednio dużego, godnego tej konstrukcji pająka. O znalezieniu muchy, która mogłaby sprostać moim oczekiwaniom, nawet nie wspomnę. Chyba tylko ta z kultowego filmu *Mucha* z Jeffem Goldblumem byłaby odpowiednia. Film ten, swoją drogą, oglądałem ukradkiem z dziadkami, udając, że śpię. Gdybym faktycznie zasnął, pewnie nie śniłyby mi się później po nocach te przerażające filmowe obrazy, wywołując koszmary!

Ciężko mi się odnaleźć w tej plątaniu wspomnień, w tej gęstwinie przeszłości. Czasy mieszają się ze sobą, nakładają na siebie! Obrazy przenikają się wzajemnie i już sam nie wiem, czy to, co wspominam, działo się kiedyś, a może dzieje się właśnie w tej chwili. Może równolegle w innym wymiarze. Kiedy to czytasz, drogi czytelniku, to już to, co teraz piszę, jest zaledwie reliktem przeszłości. Odległe echo minionych dni. Może więc darujmy sobie rozważania o czasie, który, cytując mądre słowa Alberta Einsteina, jest pojęciem względnym.

Tempus fugit, aeternitas manet! Czas ucieka, wieczność pozostaje!

Dziadek odszedł, ale pozwól, że teraz udam się z nim na wędrowkę i zabiorę Cię ze sobą. Idziemy nad urokliwy staw należący do wspomnianych już wcześniej państwa Łukasińskich. Stamtąd na cały Krzywiec niósł się donośny, radosny rechot żab tworzący niezapomnianą, wiejską symfonię. Te właśnie żaby, te niepozorne płazy, były w kręgu moich szczególnych zainteresowań. Wśluchiwałem się w ich koncerty i nie przeszkadzały mi nawet dokuczliwe komary. Co więcej, mam nieodparte wrażenie, że w tamtych czasach było ich znacznie mniej niż dzisiaj. Może to właśnie dzięki żabom i jaskółkom, które uwijały się, budując swoje gniazda pod każdym możliwym dachem, tworząc niepowtarzalny, sielski klimat. W każdym razie z dziadkiem Gienkiem regularnie chodziliśmy „na żaby”, organizując swoiste polowania.

Łowienie żab, tych zwinnych, skocznych stworzeń, wymagało nie lada cierpliwości, sprytu i strategicznego podejścia. Chyba lepszej szkoły tych umiejętności w całym Krzywcu nie można było sobie wymarzyć! Stosowaliśmy różne wymyślne techniki, konstruowaliśmy specjalne podbieraki z siatek albo firanek, których potem babcia nie mogła się doliczyć. Tworzy-

liśmy skomplikowane konstrukcje łapek. Wszystko po to, aby, broń Boże, żadnej żabie nie stała się krzywda. Samo polowanie, czyli długie godziny spędzone w gęstych zaroślach, z podbierakiem w dłoni, to była prawdziwa frajda i niezapomniana przygoda. Otaczały mnie wysokie, majestatyczne pałki tataraku, a na nich, niczym królowe na tronach, zasiadały ogromne, mieniające się kolorami ważki. Obserwowały otoczenie swoimi ruchomymi, jakby nie z tego świata oczami, lustrując bacznie teren. Zazwyczaj wracaliśmy z takiego polowania z pustymi rękami, ale za to w towarzystwie dwóch krów, które spokojnie pasły się dookoła stawu. Pan Łukasiński zabierał je na noc do obory i tam, na moich oczach, doił do lśniącego, metalowego wiaderka. Przyglądałem się temu procesowi z niesłabnącą ciekawością, w niecierpliwym oczekiwaniu na mój ukochany przysmak – świeże, ciepłe mleko. Dookoła w radosnym zamieszaniu biegały jeszcze gdzieś tam zabłąkane kury i gęsi, a nad naszymi głowami z piskiem śmigały zwinne jaskółki.

Kiedy już udało nam się złowić jakąś żabę, po dokładnym obejrzeniu z namaszczeniem puszczałyśmy ją z powrotem na wolność. Czasami jednak zabieraliśmy ją do naszej starej, wysłużonej wanny, stojącej w ogrodzie. Taka wanna to było coś zupełnie normalnego, typowy element krajobrazu na większości wiejskich działek. Pełniła funkcję zbiornika na deszczówkę, który w mgnieniu oka mógł się zamienić w „jakby luksusowy” basen dla dziecka albo, jak w tym przypadku, w tymczasowe akwarium dla żab.

Jeśli chodzi o żaby, uwielbiałem też zbierać małe, czarne kijanki i z zapartym tchem obserwować, jak te niepozorne, galaretowate stworzonka dzień po dniu przeobrażają się w dorosłe, skaczące żaby. Co roku ten cudowny, naturalny proces fascynował mnie na nowo i co roku z niesłabnącym zapałem odławiałem kilka dorodnych kijanek do swojej hodowli.

Dzień pełen wrażeń i przygód kończył się błogo dobranocką o 19.00, wiadomościami i filmem o 20.10. Wspominałem, że przerwy w dostawie prądu wieczorem zdarzały się często, to był czas na obserwację nieba. I tak zasypiałem wtulony w miękką, zimną kołdrę, wypchaną gęstym gęsim puchem, przy akompaniamencie niestrudzonych świerszczy i oczywiście donośnego rechotu żab. Nie brakowało też śpiewu ptaków, które – choć już nieco wyciszone – gdzieś tam zaznaczały swoją obecność, szykując się powoli do porannej, powitalnej symfonii. Przygotowanie, rzecz jasna, nie oznaczało snu. W tych kojących dźwiękach nie mogło zabraknąć bajki na dobranoc, czytanej przez ukochanych dziadków. A wierzcie mi, było

w czym wybierać, bo biblioteczka dziadka budziła podziw! Ja wybierałem bajki. Babcia, na zmianę z dziadkiem, czytali mi wiersze Brzechwy, Tuwima... Niemniej jednak ja najbardziej uwielbiałem magiczne, tajemnicze *Baśnie 1000 i jednej nocy*. Była to księga niezwykle, wprost czarodziejska, a kunsztowne, bogato złożone ilustracje w mgnieniu oka zmieniały zwykły wieczór krzywcowy w pełną magii arabską noc. Kolorowe sny w komnatach sułtana, szalone loty na zaczarowanym dywanie czy trzy życzenia do spełnienia wypowiedane do dzina z czarodziejskiej lampy – to wszystko składało się na barwny fundament mojej dziecięcej wyobraźni, tak pieczołowicie kształtowanej przez kochających dziadków. Ich czas, poświęcony na czytanie mi do snu, te bezcenne chwile były solidną, trwałą podwaliną, na której zbudowałem swój pełen fantazji świat. W Łodzi, w miejskim zgiełku, nie było na to przestrzeni, nie było na to czasu. Natomiast w Krzywcu życie płynęło zupełnie innym rytmem, na innych, naturalnych zasadach. Wyznaczały je: poranne pianie koguta budzące do życia całą okolicę i głęboka ciemność nocy rozświetlana przy dobrej pogodzie jedynie przez migoczące gwiazdy i blady, tajemniczy, zwrócony do nas twarzą księżyc.

Poza wędrówkami po lesie, po bezkresnych, zielonych ostępach były też wycieczki... samochodem do pobliskiego Lutomska, nad staw – Wrzącą. Wrząca była najbliższym, ogólnodostępnym „kąpieliskiem”, na które w upalne, letnie dni tłumnie jeździli się ludzie z bliższej i dalszej okolicy. Dookoła wody, na zielonym tle, stały samochody, a na kocach przy nich wylegiwali się spragnieni słońca plażowicze. Obok stawu, nad którym dziś widnieje zakaz kąpielii, płynie rzeka Ner. W latach dziewięćdziesiątych, przejeżdżając tamtędy od strony Krzywca, a także w drodze powrotnej, zmuszeni byliśmy szczelnie zamykać okna w samochodzie. Smród wdzierający się do wnętrza, odór płynących ścieków we wspomnianym Nerze był wprost nie do zniesienia, trudny do opisanie. Do tej rzeki trafiały chyba wszystkie możliwe odpady z łódzkich fabryk i wszelkie nieczystości z całego miasta... Do dziś nie mogę pojąć, jak ktokolwiek mógł się kąpać w stawie tuż obok tej tykającej bomby biologicznej!

Chociaż... Być może to właśnie dzięki temu ekstremalnemu hartowaniu organizmu jestem do dziś wyjątkowo odporny na choroby. Praktycznie w ogóle nie choruję, nie przeziębiam się, żadne infekcje się mnie nie imają. W każdym razie to właśnie w tym mulistym zbiorniku wodnym, tuż obok „płynnej, śmierdzącej tablicy Mendelejewa”, nauczyłem się pływać.

A dokładnie mówiąc, nauczyłem się, że trzeba aktywnie się ruszać, energicznie pracować rękami i nogami, żeby po prostu nie utonąć. Tak oto dziadek Gienek w dość niekonwencjonalny sposób nauczył mnie pływać. Po prostu bez zbędnych ceregieli rzucił mnie na głęboką wodę i czekał, obserwując bacznie, co zrobię. Byłem przerażony, bałem się panicznie. W mojej pamięci wciąż tkwiła, opisana już wcześniej, traumatyczna przygoda z dzieciństwa, mroząca krew w żyłach. Ale skoro już mnie wrzucił do tej wody, to musiałem, chcąc nie chcąc, dać sobie radę, walczyć o przetrwanie. Pierwotny strach, o dziwo, przezwyciężył jeszcze silniejszy instynkt, instynkt przetrwania i w ten jakże brutalny sposób nauczyłem się pływać. A co najważniejsze, na zawsze przestałem się bać wody, oswoilem ten żywioł! Warto dodać, że moje dzieci również nauczyłem pływać dokładnie w ten sam sprawdzony sposób i one też są mi za to wdzięczne.

Dziadek nauczył mnie w Krzywcu wielu praktycznych umiejętności: jak zbijać deski, tworząc z nich proste konstrukcje, jak z dziecięcą precyzją malować balustradę na naszej „urokliwej” werandzie, czy jak, niczym wprawny murarz, kleić cementem pęknięcia w starych schodach i pękającym, sypiącym się tynku, który swoją drogą uwielbiałem pasjami odrywać od czerwonej, chropowatej cegły. Nauczyłem się w końcu odróżniać szpadeł od łopaty i z niemałym wysiłkiem kopać zarośniętą trawą ziemię.

Pamiętam, jak kiedyś w piaszczystym, sypkim podłożu, bo takie właśnie ziemie dominują w Krzywcu, niczym mały kret wykopałem w ciągu jednego upalnego dnia dziurę na ponad dwa metry głębokości! Byłem z siebie niesamowicie dumny, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Niestety, jak się szybko okazało, wydostanie się z tej jakże głębokiej pułapki przekraczało moje możliwości. Dziadkowie, zaniepokojeni moją nieobecnością, rozpoczęli gorączkowe poszukiwania, nawołując mnie po imieniu. Jednakże z takiej głębokiej dziury dźwięk niesie się bardzo słabo, jest stłumiony, zniekształcony, przez co, mimo usilnych starań, nie mogli mnie zlokalizować! Sytuacja była patowa, a ja zaczynałem wpadać w panikę. W końcu mnie znaleźli. Nie obyło się bez obrażeń. Moje ramiona i kark były czerwone od padających w dziurę promieni słońca. Babcia całą noc okładała mnie zsiadłym mlekiem, żebym nie wył z bólu, leżąc na plecach! Ale dół był pierwsza klasa! Niestety praca zakończyła się tym, że musiałem go zasypać.

Raz w tygodniu, w sobotę, czasami przy okazji odbierania rodziców z przystanku w Niesięcinie, gdzie autobus kursował chyba tylko dwa razy

dziennie, wybieraliśmy się z dziadkiem na rowerach do sklepu. Dziadek pieszczotliwie nazywał te wyprawy „rundkami”. Właśnie „na górce” w Nieściecinie był w tamtych pionierskich czasach jedyny sklep w całej okolicy. Sam sklep, jak na złość, usytuowany był na sporym wzniesieniu, na które, chcąc nie chcąc, trzeba było cały czas pedałować pod górę. Na końcu tej jakże męczącej wspinaczki, kiedy już resztkami sił wtaczałem się na szczyt, opadając z sił, zazwyczaj byłem zmuszony prowadzić rower, nie mając już ani odrobiny energii, by na nim jechać. Gdyby nie kusząca, słodka obietnica lodów Bambino na patyku i orzeźwiającej oranżady w szklanej, zwrotnej butelce, za nic w świecie nie dałbym rady tam wjechać! Czasami, stosując wyrafinowane techniki perswazji, udawało mi się naciągnąć dziadka na gumy balonowe Donald z kultowymi, miniaturowymi komiksami w środku, które kolekcjonowałem z pasją. Zdecydowanie woląłem historyjki z Kaczorem Donaldem od miniplakatu z serii Turbo, gdzie główną rolę odgrywały samochody... Te czterokołowe maszyny jakoś niespecjalnie mnie wtedy interesowały. Duże, pełnowymiarowe komiksy z Kaczorem Donaldem przywozili mi regularnie co miesiąc rodzice, zaopatrując mnie w solidną dawkę lektury. To właśnie te komiksy stały się moją pierwszą samodzielną lekturą, dzięki której krok po kroku nauczyłem się płynnie czytać, otwierając sobie drzwi do magicznego świata książek.

W drodze powrotnej ze sklepu było już na szczęście z górki, więc mknęliśmy radośnie i bez wysiłku. Mimo to zatrzymywaliśmy się regularnie pod dwoma majestatycznymi kasztanami, które, co ciekawe, stoją w Krzywcu do dzisiaj, w okolicy starej, nieczynnej już szkoły, po drugiej stronie drogi. Tam, w cieniu rozłożystych drzew, zazwyczaj okazywało się, że dziadek w swej szczodrości kupił jeszcze w tajemnicy przede mną tabliczkę pysznej czekolady, którą się później dzieliliśmy.

Jak wspominałem, mieliśmy psa. Otóż i dla niego jest miejsce w tej opowieści, bo to pies z Krzywca rodem. Bary, nasz wierny przyjaciel, czujnie pilnował mnie i całego naszego dobytku. Wielki, postawny owczarek niemiecki, o brązowo-czarnym umaszczeniu, niczym legendarny Szarik z kultowego serialu *Cztery pancerni i pies*, towarzyszył nam krok w krok przez wszystkie bez troskie lata spędzone w Krzywcu. Szczekał donośnie tylko wtedy, kiedy ktoś obcy, nieproszony, pojawiał się na terenie naszej działki. Był prawdziwym, oddanym przyjacielem dziadka, z którym, jak mawiał dziadek, trzymał sztafę. Mieli ze sobą jakąś niewidzialną, silną więź, nić porozumienia. Bary, jak

cień, trzymał się blisko dziadka. Ja nie odegram tu znaczącej roli, bo prawdę mówiąc, nie byłem zbyt w kręgu jego zainteresowań. No chyba że teoretycznie trzeba było stanąć w mojej obronie... A że jak sięgnę pamięcią, takiej palącej potrzeby nie było, to niestety mam z nim, z Barym, stosunkowo niewiele wspomnień, do których mógłbym z sentymentem wracać. Tak naprawdę mam tylko dwa, może trzy, ale niech to będzie opowieść na inną okazję.

W wieku ośmiu lat, niczym nieustraszony odkrywca, zapuszczałem się już samodzielnie w głąb tajemniczego lasu. Niejednokrotnie celowo gubiłem drogę, błędząc w gęstwinie, by po jakimś czasie z ulgą odnaleźć, niczym światełko w tunelu, drogę powrotną do domu. Wtedy też po raz pierwszy odważyłem się wyruszyć w „zagraniczną” podróż, przekraczając, w przenośni i dosłownie, granice znanego mi dotąd świata. Odkrywałem dziewiczy, nieznany mi wcześniej las, chłonąc jego piękno i tajemniczość. Od północnej strony Krzywca również miałem okazję, niczym niestrudzony eksplorator, odkrywać fascynujące, zapomniane miejsca, takie jak stare, porośnięte mchem cmentarze, opuszczone, tajemnicze domy w głębi lasu, do których w swej bujnej wyobraźni dopowiadałem niesamowite, mrozące krew w żyłach historie. Miałem dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy, niczym wytrawny kolarz, na ręcznie pomalowanym składaku, wyruszyłem w samotną podróż rowerem z Łodzi do Krzywca. Co więcej, nikt, absolutnie nikt nie wiedział o tym jakże śmiałym przedsięwzięciu przed moim wyczynem! Wcześniej, trenując kondycję, dojechałem do miejscowości Huta Jagodnica (połowa drogi) i po szybkiej kalkulacji stwierdziłem, że zarówno czasowo, jak i siłowo jestem w stanie dać radę, pokonać ten dystans. Kiedy w końcu dotarłem na miejsce, byłem z siebie dumny jak paw, a dziadek na mój widok pobladł jak ściana. W pierwszej chwili bardziej jednak zastanawiał się, jak wytłumaczymy ten jakże szalony wyczyn babci, niż nad tym, co on sam o tym sądzi. Ostatecznie zgodził się, abym wrócił do Łodzi ponownie na rowerze, o własnych siłach. Nie było telefonu, więc ciężko byłoby powiadomić babcię, która czekała na mnie w domu, o mojej nieobecności... a nawet jeśli, to pewnie by dostała zawału. Samochód był w naprawie, a akurat nikogo znajomego nie było. Zresztą skoro dałem radę dojechać, to i z powrotem również dam radę, prawda? Ufał mi, to nie ulegało wątpliwości, i bezgranicznie wierzył we mnie, w moje możliwości. Takie sytuacje, te momenty pełne zaufania i wiary w moje siły, sprawiały, że czułem się przy nim jak dorosły, prawdziwy mężczyzna. Dziadek zresztą często powtarzał, że jesteśmy

kumplami, najlepszymi przyjaciółmi, a ja nigdy nie straciłem do niego szacunku i zawsze bezwzględnie liczyłem się z jego zdaniem, ceniąc jego mądrość i doświadczenie.

Babci oczywiście pochwaliłem się, że byłem w Krzywcu. Przywiozłem jej bukiet polnych kwiatów. Nie uwierzyła.

Dziadek, jak wrócił do Łodzi, zapytał, czy powiedziałem babci. Odpowiedziałem, że tak, i że nie uwierzyła. On się uśmiechnął i powiedział tylko: Może i lepiej. Potem przytulił mnie i jak to on rozczochrał mi włosy dłonią.

Poskakałem trochę po linii czasu, przenosząc się z wydarzenia na wydarzenie. Tym oto sposobem zbliżyliśmy się niepostrzeżenie do roku 1997. Wtedy to moi dziadkowie podjęli trudną dla mnie decyzję o sprzedaży działki w Krzywcu. Jestem przekonany, że to babcia odegrała tu kluczową, decydującą rolę. Na tę decyzję złożyło się z pewnością wiele różnych elementów, skomplikowanych czynników, o których wtedy nie miałem pojęcia. Niestety dziadek, sprzedając działkę, nie zrobił, delikatnie mówiąc, interesu życia, oj nie. Wiele było z tego powodu rozmów w domu. On sam miał do siebie żal o sprzedaż Krzywca.

Dla mnie miało to zupełnie inny wymiar. Spędzałem tam praktycznie każde wakacje i nigdy się tam nie nudziłem. Wyczekiwałem na moment, kiedy pojedziemy do Krzywca. Pamiętam, jak bardzo płakałem, jak rozpaczalem, kiedy dowiedziałem się, że to już definitywny koniec, że to kres mojej jakże cudownej przygody z Krzywcem. Od tamtego czasu wielokrotnie z sentymentem przyjeżdżałem w te strony i z pewnej odległości z nutą melancholii patrzyłem na mój Krzywiec, mój dom. Łaziłem godzinami po okolicy, snując się bez celu... Nawet raz zainteresowali się mną czujni sąsiedzi i przezornie wezwali policję. Skończyło się tak, że opowiedziałem policjantom trochę moich historii z dzieciństwa, a oni po wysłuchaniu pouczyli mnie i z uśmiechem na ustach puścili wolno... Wróciłem do Łodzi.

Od kilku lat mam tę przyjemność i zaszczyt przyjeżdżać do Krzywca regularnie i brać czynny udział w lokalnych wydarzeniach organizowanych przez prężnie działające sołectwo. Krzywiec na moich oczach rośnie, pięknieje, rozbudowuje się, przybywa domów, ulice, nawet te nieżycziwe, stają się Życzliwe i pokrywają się równym asfaltem. Lecz, co najważniejsze, duchy, te dobre duchy przeszłości, pozostały i zapewniam Was, bardzo ciężko byłoby je stąd przepędzić, wygnać. Bądźcie więc uważni, miejcie oczy i uszy szeroko otwarte, bo w tych jakże tajemniczych lasach wciąż mieszkają

skrzaty, a na podmokłych łąkach nad Lubczyną żaby niestrudzenie prześcigają się w rechocie ze świerszczami. Zaś dostojne bociany majestatycznie przelatują nad miejscami, gdzie niegdyś w mojej, jakże odległej przeszłości, rozciągały się bezkresne, zielone łąki i gęste, tajemnicze lasy.

Być może na posesji przy ul. Okołowicza 25 wciąż dumnie przy domu rośnie ten wielki, rozłożysty modrzew... Może wciąż jakiś olbrzymi pająk krzyżak z uporem, codziennie od nowa, buduje swoją pajęczynę. Podobną do tej, do której ja z dziecięcą ciekawością wrzucałem złapane uprzednio w starą firankę nieszczęsne muchy. Być może też nikt do tej pory nie odkopał mojej pilnie strzeżonej tajemnicy – butelki szczelnie zamkniętej z ukrytym w środku listem i kilkoma jakże cennymi drobiazgami z mojego beztroskiego dzieciństwa. Tę butelkę z namaszczeniem zakopałem nieopodal starego, rozłożystego drzewa, w ostatnim, pełnym wzruszeń dniu spędzonym w naszym ukochanym domu, w magicznym Krzywcu. A napisałem tak: „Tu zawsze będzie mieszkał ten mały chłopiec, który, kochając to miejsce, przeżywa wciąż te wszystkie przygody w swojej linii czasu”.



Maki w Krzywcu. Fot. M. Konwaluk i M. Król